

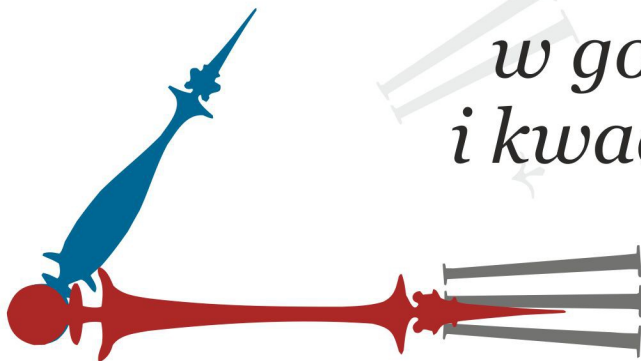
XVII

dramaty

Jerzego

Szaniawskiego

*w godzinę
i kwadrans*



**Robert
Żebrowski**

III

**rysunki
Błażej Małczyński**

PTAK

„Obywatele! Jutro, gdy po niedzielnym nabożeństwie wyjdziecie z kościoła, zgromadźcie się na rynku. Gdy zegar uderzy dwanaście razy, a z wieży zabrzmie głos hejnału, podnieście głowy wysoko. Uwagażcie! Wyleci wówczas ku niebu wielki złocisty ptak!”

Burmistrz naszej prowincjonalnej miściny odczytał tę zadziwiającą odezwę zaskoczonym miejskim radnym: lekarzowi Anzelmowi, hodowcy gołębi Eustachemu, fabrykantowi świec i pierników Sylwestrowi oraz właścicielowi narożnego domu Sebastianowi na koniec spotkania Rady, niezbyt udanego i nieznośnie rutynowego. Czerwone tło afisza, na którym treść ową umieszczono, nie wzbudziło zaufania zebranych. Tylko kontestujący miejskie tradycje sekretarz rady patrzył na afisz okiem łasym nowości, z nieukrywaną tęsknotą za jakąkolwiek zmianą.

A zmiana rosła już i pęczniała w niewielkim, ozdobnym pudełku na strychu jednej z miejskich kamienic, gdzie tuż pod tym strychem, na poddaszu, mieszkanie wynajmował nowo przybyły do miściny dziwny student. Pudełko malowane delikatnymi chińskimi barwnikami zawierało jedno duże jajko, które cudem niemal przebyło, dyplomatyczną pocztą, długą drogę z Państwa Środka do nas; wcześniej tajemniczy student poddawał jajko tajemniczym procedurom, opisanym w książce, przysłanej mu wraz z jajkiem przez chińskiego konsula, a traktującej o sztucznym wylęganiu.

Radni miściny naszej, rzecz jasna, o sztucznym wylęganiu pojęcia żadnego nie mieli, nie mieli też pojęcia o tym, że student, autor afisza, jest synem (i to w dodatku nieprawym) konsula w Chinach,

co dziecku swemu śle od czasu do czasu pieniądze, a z rzadka inne ciekawostki.

Naszym radnym, ani naszemu burmistrzowi, żadnych ciekawostek nikt nigdy nie posyłał. Otrzymywali służbowe egzemplarze lokalnych gazet, z których jedna, „Dzwon spiżowy”, bardziej była konserwatywna, a druga, „Grzechotka drewniana”, bardziej plotkarska. Tylko sekretarz rady pisma współczesne krajowe i europejskie prenumerował, doprowadzając do szału radnych, kiedy nowinki w nich zawarte pozwolił sobie podczas posiedzeń śmiało cytować.

Dzisiaj nawet, podczas spotkania, na które wszyscy uczestnicy spóźnili się ponad godzinę, narzekając na rześisty deszcz i otrząsając parasole, zaatakował ich niespodzianie domagając się zamiany gęsich piór służących do protokołowania posiedzeń na pióra stalowe, twierdząc prowokacyjnie, że ludzie już i nowsze metody pisania po papierze wymyślili. Ale czegoż można oczekiwać po kimś, kto uważa, iż są teraz w muzyce zjawiska bardziej niezrozumiałe niż Wagner?

Tolerowali zatem radni swego sekretarza, by tak rzec, siłą tradycji, choć on nieustannie tradycje właśnie podważał. Ale skarg nadesłanych radzie przez mieszkańców naszej miejsciny nikt lekceważyć nie mógł. Na ich rozpatrywaniu minął miejskim włodarzom czas poprzedzający lekturę przedziwnego afisza o ptaku.

Obywatel Jan Borka domagał się odszkodowania za swoją ukochaną siwą kobyłę, która na dziurze w miejskim moście złamała nogę. A cóż radę obchodzi, że kobyła to siwa i ukochana? I dlaczego odszkodowanie za całą, gdy tylko jedną nogę złamała? Co innego mikroskop miejskiego weterynarza, służący do badania wieprzowego mięsa; jeśli jest pozbawiony niezbędnych dla mikroskopu szkiełek powiększających, funkcji swej nie spełni i pasożytów szkodliwych dla zdrowia nie wykryje. A gdyby nie wykrył ich w mięsie dla radnych przeznaczonym? Szkła ufundować weterynarzowi trzeba. Inna rzecz barometr publiczny, proponowany przez obywatelkę Joannę Figową. Jak świat światem kobiety rozpoznawały zbliżający się deszcz po darciu w kościach, i niech tak zostanie; a jeśli Figowa za młoda, by ją w kościach darło, to trudno, funduszy na fanaberie nie

ma. Nie ma też funduszy na likwidację monstrualnych kałuż na ulicach, a obywatelka Franciszka Strudlowa, ironicznie napastliwa w swym piśmie do rady, niech sobie na własną rękę lub nogę w tych kałużach pływa, skoro stać ją na takie wykoncypowane złośliwości.

Kiedy rada pochyla się nad tymi przypisanymi jej przez tradycję kwestiami trudnego zarządzania obywatelskim niezadowoleniem – na strychu nad mieszkaniem studenta efekt sztucznego wylęgania bije już skrzydłami o dach kamienicy, domagając się uwolnienia. Student, wirtualny ojciec ogłoszonego afiszem ptaka, patrzy niespokojnie w okno; jego wytwór niebawem poleci w miejskie niebo; złoty ptak ułudy i wyobraźni.

Burmistrz i jego kompani też mają wyobraźnię. Czytają czerwony afisz i myślą: co się za tym kryje? Co to znaczy: ptak? Czy ktoś, chcąc wypuścić ptaka w niebo, chwaliłby się tym na czerwonym afiszu? Czy to koncept terrorysty czy tylko rewolucjonisty? Jakie legiony szatana lub anarchisty kryją się za złotym ogonem i barwnymi skrzydłami?

Mieścina nasza jest mała i niektórzy odwiedzający nas „obywatele świata” nazywają ją nawet prowokacyjnie „dziurą dziur”, zbiorowiskiem „typków”, proponują wsadzić ją w całości pod kosz i jako antyk wątpliwej jakości sprzedać dorobkiewiczom. Nie nam to osądzać. Prędzej osądziłby to postępowy sekretarz rady, ale okazało się, że nie jest tak prędko w postępowym postępowaniu jak młoda burmistrzanka. Zaszczepiona prowokacyjną treścią czerwonego afisza odnajduje ona na poddaszu studenta i wypytuje o ptaka.

Żeby zachować ścisłość – nie o ptaka ogłoszonego pyta, lecz o to, co za ptakiem się kryje. Ma bowiem nadzieję; rzadka to rzecz w naszej mieścinie, ale niektórzy ją mają. Oto więc burmistrzanka dowodzi studentowi, że przeciw rewolcie, wznieconej pod pozorem ptaka, nic nie ma, trzeba bowiem obudzić ten uśpiony grajdołek rewolucyjnym wystąpieniem, atakiem na oczywistości, rebelią przeciwko skostniałej tradycji.

Student nie rozumie. Jaka rewolucja? Jaka rewolta? Przewrotu nie będzie, bo to tylko ptak. O nic więcej przecież nie chodzi, niż

o wypuszczenie pewnego pięknego co prawda niezwykle, ale obojętnego ideowo produktu sztucznego wylęgania. Ptak to tylko ptak.

Kiedy student tłumaczy niewinność ptaka burmistrzance, do jego drzwi puka sekretarz rady. Burmistrzanka ukrywa się w alko-
wie studenta i słucha z ukrycia. Sekretarz też liczy na ptaka, na jego uzdrawiającą ospałą mieścinę moc, na jego buntowniczą po-
tencję. Student wytrwale tłumaczy nieporozumienie: po rewoltę to nie do mnie! Uśmiechnijcie się do jakiegoś Lekkoducha – ja nie mam o ofercie rewolucji, tylko złotego ptaka, co niewinnie i obojęt-
nie wzniesie się w niebo.

Po oczekujących zmiany przychodzą reprezentanci tradycji; do pokoju studenta wkracza cała rada miasta z burmistrzem na czele. Sekretarz, nakryty przez swych szefów na gorącym uczynku, umyka chyłkiem. Przybyli próbują przekonać studenta, że przecież ptak ogłoszony afiszem ptakiem tylko być nie może – student nieco już znużony sugestiami potencjalnych wrogów reaguje na nie podobnie, jak reagował na sugestie potencjalnych współników buntu: głó-
si nicość nieuprawnionych oczekiwań. Przecież chodzi tylko o to, żeby było wesoło, żeby było pięknie!

Zamykające w sobie całą naszą tradycję miejską wieloosobowe ciało rady próbuje podważyć, wobec upartych zaprzeczeń studenta, założenie, że warto coś robić tylko dla zabawy i dla piękna. Wszak wiele jest potrzeb – więc może akcja charytatywna – oto czekają sieroty, wioślarki pozbawione przystani, straż ogniowa bez sikawek, akademicki bez domów, dzieci bez tranu. Student jest nieugięty: skalać loterią charytatywną ptaka nie mogą!

Radni wychodzą – na zacisznym poddaszu zostaje tylko niewinny student i pełna nadziei burmistrzanka. Pomiędzy nimi – młodymi i niespełnionymi w tęsknotach – nagi miecz dziecięcej niewinności. Ona niby chce wyjść, ale nie wychodzi; twierdzi, że to on ją zatrzymuje, choć on przecież tego nie robi; mówi tylko, że nie chce być w tej chwili sam. A chwila jest wielka – bo zegar na wieży bije dwanaście razy i przez otwarte okno dobiegają młodych dźwięki hejnału. Już czas.

Student wbiega po schodkach na strych i otwiera okienko, uwalniając ptaka, swoje marzenie, swoje nadmiarowe piękno, swoją tęsknotę za nieznanym. Ptak szybuje wysoko i powraca, prezentuje się dorodnie przed oczami tłumu obywateli naszej miejsciny, krąży nad rynkiem, macha wielkimi kolorowymi skrzydłami, wachluje złotym ogonem. Jak napisano na czerwonym afiszu: wyleciał ku niebu wielki, złocisty.

Burmistrzanka patrzy na studenta takim wzrokiem jak obywatel Borek na ukochaną siwą kobyłę, jak obywatelka Figowa na nieistniejący miejski barometr, jak obywatelka Strudlowa na przeprawy nieobecne nad miejskimi kałużami. Mówi, że ptak był cudny, ale że nie widziała ptaka. Student jeszcze nie rozumie, ale gdzieś w głębiach psyche podobnych do wnętrza wymalowanego pudełka przysłanego z dalekich Chin czuje to samo, co czuł hodując egzotyczne jajo na obiekt uniesień, zaoferowanych tłumom; komu teraz zaoferuje swoje uniesienia? I kto jemu podobne uniesienia okaże?

Życie naszej miejsciny nie kręci się wokół alkowy tajemniczego studenta, jeśli nawet ten wypuścił ptaka – i tylko ptaka – i jeśli nawet pewien czas w tej alcewie spędziła urodziwa burmistrzanka. Życie nasze kręci się wokół rady, która właśnie zebrała się w ratuszu, aby omówić ostatnie dziwne wydarzenia.

Burmistrz i radni odetchnęli z ulgą. Czerwony afisz nie zwiastował jednak rewolty, buntu, pogromu, profanacji, świętokradztwa ani innych społecznych anomalii. Ptak leciał, jak leciał, lud patrzył, jak patrzył – i nie stało się nic.

Co prawda na mieście wyczuwało się pewien niepokój, ludzie chodzili grupkami i gestykulowali, zapominali kłaniać się starszym i można było mieć wrażenie, iż lekceważą powagę; co prawda radni przyznali się do dziwnego dreszczu, jaki powagę ich pleców naruszył podczas pokazu, przyznał się do tego nawet burmistrz – i on to właśnie orzekł, że to stan dopuszczalny, ale człowiek głębszy przyznać się do tego nie może. Co nie przystoi starszym, przystoi dzieciom. Radca Sebastian, który w narożnym domu wychowuje sześciu przeznaczonych dla ojczyzny synów przyznaje, że synowie ci, plastycznie uzdolnieni, wszyscy, jak jeden, po pokazie na rynku malo-

wali ptaka – i u każdego z nich ptak ten wyglądał inaczej, choć to samo przecież widzieli.

Radni jednak muszą wszyscy widzieć to samo i w należnym, poważnym porządku, próbują zatem nieznanym jeszcze skutkom wlotu ptaka zawczasu zapobiec, bo, jak wiadomo, strzeżonego... Wymyśliwszy sposób upupienia ptaka (wraz ze studentem) postanawiają wpłynąć na prasę lokalną, aby ta wydarzenie całe racjonalnie umniejszyła, wskazując drukiem drobnym i niepozornym, że to bagatela godna jedynie zlekceważenia, a ptak na pewno nie orzeł – dudek raczej.

Listy do dwóch redakcji gazet zostały właśnie wysłane, gdy do ratusza wkracza student i ogłasza publicznie, iż przyszedł burmistrza prosić o rękę jego córki. Na to wkracza burmistrzanka i pyta studenta i swego ojca, czy już załatwione. Bo to przecież proste niezmiernie – twierdzi burmistrzanka – pokochaliśmy się, i już. Burmistrz już wie, że jego ewentualny protest na nic się nie zda, córkę ma bowiem nad wiek uświadomioną, samodzielnią i asertywną. Jedno tylko mu teraz do tej nowej sytuacji nie pasuje: wszak nie wypada, aby zięć przyszły był jakimś dudkiem, a nie sokołem co najmniej, jeśli już nie orłem. Idą więc do gazet lokalnych kolejne, zmienione nieco instrukcje.

Burmistrzanka wspiera bardzo swego ojca w tej akcji czynienia z narzeczonego ptaka szlachetniejszego, co samemu narzeczonemu niezbyt się podoba: czyżby nie była zakochana w nim samym, tylko w tym, co o nim prasa napisze? Odbywa się pierwsza narzeczeńska kłótnia zakończona pojednawczym pocałunkiem.

A potem już tylko feta i muzyka, iluminacje i gratulacje. Przez ratusz przetacza się tłum radosny i świąteczny, kapelą przygodnie dobraną dyryguje hejnalista Michałko, niedoceniony miejski wynalazca ofiarowuje ruchomego pajacyka przyszłemu potomkowi burmistrzanki i studenta, przychodzi nawet służąca w domu studenta Marysia o pięknych oczach, woźny ratusza odpala fajerwerki, pojawiają się dzbany wina, beczki wina, wystrzały z moździerzy.

Student, naczelny uwodziciel, co tego dnia w naszej mieścinie uwiódł i tłum, i córkę tego tłumy głowy, szepcze cicho, nieśmiało, jakby z nagłą, niespodziewaną wcześniej obawą i wątpliwością: żeby było wesoło, żeby było pięknie...

Koniec. Ale muzyka gra jeszcze.





ISBN 978-83-963109-0-3
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”
Legionowo, 2021



Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Mazowieckiego
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”



Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS